

NICHOLAS SPARKS

ANIOŁ STRÓŻ



Prolog

Wigilia Bożego Narodzenia, 1998

Dokładnie czterdzieści dni po tym, gdy po raz ostatni trzymała męża za rękę, Julie Barenson siedziała przy oknie, wyglądając na spokojne ulice Swansboro. Było zimno. Od tygodnia niebo miało złowieszczy wygląd, deszcz stukał cicho o szyby. Nagie gałęzie drzew kurczyły się w lodowatym powietrzu jak powykręcane artretyczne palce.

Wiedziała, że z pewnością chciałby, by posłuchała dzisiaj muzyki – z głębi pokoju dobiegały ją dźwięki *White Christmas* w wykonaniu Binga Crosby’ego. Przystroiła też dla męża choinkę, choć zanim się zdecydowała na jej kupno, w supermarkecie zostały już tylko same drapaki, wyłożone na zewnątrz do wzięcia za darmo. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Nawet gdy skończyła dekorowanie drzewka, nie potrafiła wykrzesać z siebie dość energii, żeby się nim interesować. Od czasu gdy guz mózgu odebrał życie Jimowi, trudno jej było odczuwać cokolwiek.

W wieku dwudziestu pięciu lat została wdową i całym sercem nienawidziła tego słowa – jego dźwięku, wszystkiego, co oznaczało, sposobu, w jaki poruszały się jej usta, gdy je wymawiała. Unikała go za wszelką cenę. Kiedy ludzie pytali, jak się czuje, wzruszała po prostu ramionami. Czasami jednak, ale tylko czasami, miała wielką ochotę zareagować. Jesteście ciekawi, jak się czuję po stracie męża? – chciała odpowiedzieć pytaniem. Proszę bardzo, posłuchajcie więc.

Jim umarł, a teraz, gdy go nie ma, czuję się, jak gdyby ze mnie również uszło życie.

Czy to właśnie, zastanawiała się Julie, chcą usłyszeć ludzie? A może woleliby komunały? „Poradzę sobie. Jest mi ciężko, ale jakoś przez to przebrnę. Dziękuję za zainteresowanie”. Przypuszczała, że potrafiłaby się zdobyć na żołnierską dzielność, nigdy jednak nawet nie próbowała. Łatwiej i uczciwiej było tylko wzruszyć ramionami i nic nie mówić.

Przecież wcale nie miała wrażenia, że wszystko będzie dobrze. Często wydawało jej się, że nie zdoła przeżyć dnia do końca, nie załamując się. A już zwłaszcza takiego wieczoru jak dzisiejszy.

Julie przycisnęła dłoń do szyby, w której odbijały się kolorowe lampki świątecznej choinki, czując chłód szkła.

Mabel zaproponowała jej, żeby zjadła z nią dzisiaj kolację, Julie jednak grzecznie odmówiła. Nie przyjęła też zaproszenia Mike’a, Henry’ego i Emmy. Wszyscy ją zrozumieli, a raczej udawali, że rozumieją, ponieważ jasne było, że każde z nich uważa, iż nie powinna spędzić tego wieczoru sama. I może mieli rację. Wszystko w domu, co widziała, czego dotykała, zapachy, które wdychała, przypominało jej Jima. Jego ubrania zajmowały pół szafy, maszynka do golenia nadal leżała obok mydelniczki w łazience, wczoraj nadeszła w poczcie prenumerata „Sports Illustrated”. W lodówce stały dwie butelki Heinekena, jego ulubionego piwa. Gdy zobaczyła je na półce wcześniej tego wieczoru, szepnęła do siebie „Jim nigdy ich już nie wypije”, zatrzasnęła drzwiczki, oparła się o nie i przepłakała w kuchni całą godzinę.

Była tak zatopiona w myślach, że widok za oknem rozmazywał jej się przed oczami, dobiegał ją tylko cichy stuk gałęzi o ścianę domu. Dźwięk był uporczywy, ciągły i niemal w tej samej chwili zdała sobie sprawę, że się myli, że to wcale nie gałąź.

Ktoś puka do drzwi.

Julie wstała, poruszając się jak na zwolnionym filmie. Zatrzymała się przed drzwiami, przeczesła palcami włosy, mając nadzieję, że uda jej się uspokoić. Jeśli to wpadł ktoś z jej przyjaciół, nie chciała spr-

wiać wrażenia osoby, która potrzebuje wsparcia i chce, żeby dotrzymać jej towarzystwa. Jednakże gdy otworzyła drzwi, okazało się, że stoi za nimi młody mężczyzna w żółtym błyszczącym płaszczu przeciwdeszczowym. W rękach trzymał duże, owinięte w papier pudło.

– Pani Barenson? – spytał.

– Tak.

Nieznajomy postąpił niepewnie krok do przodu.

– Mam to pani dostarczyć. Mój ojciec powiedział, że to bardzo ważne.

– Pański ojciec?

– Chciał być pewien, że dostanie to pani dzisiaj wieczorem.

– Czy ja go znam?

– Nie wiem. Bardzo nalegał, żebym dostarczył przesyłkę właśnie dziś. To prezent od kogoś.

– Od kogo?

– Ojciec powiedział, że wszystko stanie się jasne, gdy rozpakuje pani prezent. Tylko proszę nie potrząsać pudłem i trzymać je tą stroną do góry.

Młody mężczyzna wcisnął jej paczkę w ramiona, zanim zdołała go powstrzymać, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie.

– Chwileczkę – powiedziała Julie. – Nie rozumiem...

Chłopak obejrzał się przez ramię.

– Wesołych Świąt! – zawołał.

Julie stała na progu, patrząc za nim, gdy wsiadał do furgonetki. Wróciła do środka i postawiła pudło na podłodze przed choinką, po czym uklękła przy nim. Szybka inspekcja potwierdziła brak wizytówki oraz jakichkolwiek innych wskazówek co do nadawcy. Rozwiązała wstążkę, następnie podniosła pokrywę, owiniętą oddzielnie w kolorowy papier, i dosłownie odebrało jej mowę. Wpatrywała się bez słowa w prezent.

Był pokryty meksem i przypominał karzełka, ważył około dwóch kilogramów. W rogu pudła kulił się szczeniak tak brzydki, jakiego nigdy w życiu nie widziała. Miał nieproporcjonalnie duży łeb

w stosunku do reszty ciała. Spoglądał na nią, skomląc cicho, w kąci-
kach oczu zebrała mu się bladawa wydzielina.

Ktoś, pomyślała, kupił mi szczeniaka. Brzydkiego szczeniaka.

Do wewnętrznej ściany pudła była przyklejona taśmą koperta.
Gdy po nią sięgnęła, zaświtało jej w głowie, że pismo jest jej znajome –
i zamarła. Nie, pomyślała, to niemożliwe...

Znała je z listów miłosnych, które do niej pisał z okazji kolejnych
rocznic, z pośpiesznie nabazgranych liścików zostawionych obok te-
lefonu, z papierów piętrzących się na biurku. Trzymała kopertę przed
oczyma, odczytując w kółko swoje imię. Następnie wyjęła drżącymi
palcami list. Jej oczy powędrowały do słów, napisanych w lewym gór-
nym rogu.

Najdroższa Jules!

Tak nazywał ją pieszczotliwie Jim. Julie zamknęła oczy, mając
wrażenie, że jej ciało skurczyło się nagle. Wzięła głęboki oddech i za-
częła czytać od nowa.

Najdroższa Jules!

*Skoro czytasz ten list, to znaczy, że nie ma mnie już na
tym świecie. Nie wiem, kiedy odszedłem, ale mam nadzieję,
że potrafiś się jakoś otrząsnąć. Zdaję sobie sprawę, że gdybym
znalazł się na Twoim miejscu, byłoby to dla mnie bardzo trudne,
pamiętasz jednak, że zawsze uważałem, iż z nas dwojga Ty jesteś
silniejsza.*

*Jak sama widzisz, kupiłem Ci psa. Harold Kuphaldt był
przyjacielem mojego ojca. Prowadzi hodowlę dogów niemieckich
od czasów, gdy byłem dzieckiem, ponieważ jednak nasz dom był
bardzo mały, mama nie zgadzała się na to, byśmy trzymali psa.
Zgoda, są to duże psy, ale Harold twierdzi, że również najmiłsze
na świecie. Liczę na to, że on (a może ona) przyniesie Ci wiele
radości.*

W głębi duszy chyba zawsze byłem świadomy, że nie uda mi się pokonać choroby. Odsuwałem jednak od siebie tę myśl, ponieważ wiedziałem, że nie masz nikogo, kto pomógłby Ci przejść przez to wszystko. To znaczy rodziny. Serce mi się kraje, gdy pomyślę, że zostaniesz sama. Nie mając pojęcia, co zrobić, poczyniłem starania, żebyś dostała psa.

Oczywiście, jeśli Ci się nie spodoba, nie musisz go zatrzymać. Harold powiedział, że bez problemu przyjmie go z powrotem. (W załączeniu powinnaś znaleźć numer jego telefonu).

Wierzę, że jakoś sobie radzisz. Od kiedy zachorowałem, nieustannie się o to martwiłem. Kocham Cię, Jules, naprawdę bardzo Cię kocham. Od momentu twojego pojawienia się w moim życiu byłem najszczęśliwszym facetem na świecie. Serce pękłoby mi z bólu, gdybym przypuszczał, że Ty nigdy już nie będziesz szczęśliwa. Proszę więc, zrób to dla mnie. Ciesz się życiem. Znajdź kogoś, kto Cię uszczęśliwi. Może to być trudne, możesz uważać, że to w ogóle niemożliwe, ale pragnę, żebyś spróbowała. Świat jest piękniejszy, kiedy się uśmiechasz.

I nie obawiaj się. Gdziekolwiek się znajdę, będę Cię strzegł. Zostanę Twoim aniołem stróżem, kochanie. Możesz mi zaufać, postaram się, żebyś zawsze była bezpieczna.

*Kocham Cię
Jim*

Ze łzami w oczach Julie zajrzała znowu do pudła i sięgnęła do środka. Szczeniak przytulił się do jej dłoni. Wyjęła go i przysunęła bliżej do twarzy. Był malutki i drżał na całym ciele, wyczuwała pod skórą delikatne zębra.

Pomyślała, że to naprawdę małe brzydactwo. A gdy dorośnie, będzie wielkości niedużego konia. Co, u licha, pocznie z takim psiakiem?

Czemu Jim nie załatwił dla niej szarego brodatego sznaucera miniatURY albo jeszcze lepiej cocker-spaniela ze smutnymi okrągłymi

oczami? Posłusznego, miłego psiaka, który od czasu do czasu sypiałby zwinięty w kłębek na jej kolanach?

Szczeniak zaczął skomleć, dźwięk wznosił się i opadał niczym echo gwizdzącego w oddali pociągu.

– Cśś... wszystko będzie dobrze – wyszeptła Julie. – Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy...

Nie przestawała mówić cicho do szczeniaka, chcąc, żeby się do niej przyzwyczaił i próbując pogodzić się z myślą, że Jim zrobił to dla niej. Szczeniak skowyczał dalej, niemal jak gdyby dostrajając się do melodii płynącej ze stereo, i Julie podrapała go pod brodą.

– Śpiewasz dla mnie? – spytała, uśmiechając się łagodnie po raz pierwszy od dawna. – Tak to brzmi, wiesz?

Pies przestał na chwilę skomleć i popatrzył na nią, wytrzymując jej spojrzenie. Potem rozkwilił się znowu, choć tym razem nie wydawał się już tak bardzo przerażony.

– Śpiewak – powiedziała szeptem. – Myślę, że dam ci na imię Śpiewak.

Rozdział 1

Cztery lata później

Przez lata, które upłynęły od śmierci Jima, Julie Barenson udało się jakimś cudem znaleźć sposób, żeby zacząć znowu żyć. Nie nastąpiło to od razu. Pierwsze dwa lata po jego śmierci były trudne i samotne, ale czas uczynił w końcu cud dla Julie, łagodząc poczucie straty. Mimo że kochała Jima i wiedziała, że na zawsze pozostanie w jej sercu, ból nie był już tak ostry jak kiedyś. Pamiętała swoje łzy i kompletną pustkę, jaką stało się jej życie, gdy Jim odszedł na zawsze, ale przejmujący ból tamtych dni był już za nią. Teraz wspominała męża z uśmiechem, wdzięczna, że przez pewien czas był częścią jej życia.

Była mu również wdzięczna za Śpiewaka. Jim postąpił słusznie, kupując jej psa. W pewnym sensie to Śpiewak sprawił, że udało jej się jakoś przejść przez to wszystko.

W tej chwili, leżąc w łóżku pewnego wczesnego wiosennego poranka w Swansboro, w Karolinie Północnej, Julie nie koncentrowała się bynajmniej na tym, jak cudownym wsparciem był dla niej Śpiewak podczas minionych czterech lat. Przeklinała natomiast jego niezwykle namacalną obecność, próbując schwytać oddech i powtarzając w myśli: Nie mogę uwierzyć, że umrę w taki właśnie sposób.

Rozgniewiona na placek przez własnego psa.

Śpiewak leżał na niej, przygważdżając ją swoim ciężarem do materaca, i Julie widziała już oczyma wyobraźni, jak wargi zaczynają jej sinieć z powodu braku powietrza.

– Złaż ze mnie, ty wstrętne leniwe psisko – wyrzęziła. – Mordujesz mnie.

Chrapiący głośno Śpiewak nie słyszał jej, toteż Julie zaczęła się wiercić, próbując wyrwać go ze snu. Dusząc się pod ciężarem psa, czuła się, jak gdyby owinięto ją w koc i wrzucono do jeziora, jak to bywa podczas mafijnych porachunków.

– Mówię serio – wymówiła z trudem. – Nie mogę oddychać.

Śpiewak podniósł w końcu ogromny łeb i uniósł powieki, patrząc na nią półprzytomnym wzrokiem. „O co ten cały krzyk? – zdawał się pytać. – Nie widzisz, że próbuję odpoczywać?”

– Złaż! – wychrypiąta Julie.

Pies ziewnął, przytulając zimny nos do jej policzka.

– Tak, tak, dzień dobry – wymówiła z trudem. – A teraz spadaj.

Parsknął i zaczął gramolić się na łapy, nie przestając przygniatać podczas procesu wstawania różnych fragmentów ciała Julie. Wyżej. I wyżej. Po chwili stał, górując nad nią potężnym cielskiem niczym potwór z niskobudżetowego filmu grozy, smużka śliny lśniła na jego wargach. Dobry Boże, pomyślała Julie, ależ on jest wielki. Chyba powinienam była już się do tego przyzwyczaić. Zaczepnęła tchu i zmierzyla go groźnym spojrzeniem, marszcząc brwi.

– Czy pozwoliłam ci włączyć na moje łóżko? – spytała.

Śpiewak zwykle sypiał w nocy w kącie jej pokoju, jednakże przez ostatnie dwie noce tarabanił się za nią do łóżka. A ściślej mówiąc, kładł się na niej. Zwariowany pies.

Teraz pochylił łeb i poliznął ją po twarzy.

– Nie, nie wybaczyłam ci. – Julie odepchnęła psa. – Nie próbuj nawet się wymigać. Mogłeś mnie zabić. Ważysz dwa razy więcej ode mnie, wiesz przecież doskonale. A teraz wynocha z łóżka.

Śpiewak zakwilił jak nadąsane dziecko, po czym zeskoczył na podłogę. Julie usiadła, masując obolałe zębra, i zerknęła na zegar, my-

śląc, już? Oboje przeciągnęli się w tym samym momencie, zanim Julie odrzuciła kołdrę.

– Chodź – powiedziała. – Wypuszczę cię na dwór, a potem wezmę prysznic. Ale pamiętaj, nie wolno ci kręcić się znowu przy pojemnikach na śmiecie naszych sąsiadów. Zostawili mi nieprzyjemną wiadomość na automatycznej sekretarce.

Pies popatrzył na nią wymownie.

– Wiem, wiem, to tylko śmiecie, ale niektórzy ludzie mają takie dziwactwa.

Śpiewak wyszedł z pokoju, kierując się w stronę drzwi wyjściowych. Julie podążyła za nim, obejmując się ramionami i zamykając na chwilę oczy. Poważny błąd. Wychodząc z sypialni, walnęła się z całej siły w duży paluch o komodę. Ostry ból przeszył jej nogę od czubka palca aż do uda. Krzyknęła głośno, po czym zaczęła kląć, łącząc przekleństwa w najrozmaitsze wymyślne wiązanki. Skacząc na jednej nodze w różowej piżamie, pomyślała, że musi wyglądać jak zepsuty reklamowy króliczek baterii Energizer. Śpiewak posłał jej tylko spojrzenie, które zdawało się mówić: „Co cię zatrzymało? Kazałaś mi przecież wstać, pośpiesz się więc. Mam sprawę do załatwienia na dworze”.

– Nie widzisz, że się uderzyłam? – jęknęła Julie.

Pies ziewnął znowu i Julie roztarła palec, po czym pokuśtykała za nim do drzwi.

– Dzięki, że pośpieszyłeś mi na ratunek. Jesteś wprost nieoceniony w nagłych wypadkach.

Śpiewak wybiegł na dwór, następując przedtem Julie na obolały palec – była pewna, że zrobił to naumyślnie. Zamiast skierować się do pojemników ze śmieciami, powędrował w stronę niezabudowanej zalesionej działki, przylegającej z jednej strony do jej domu. Julie śledziła wzrokiem psa, który kręcił potężnym łbem we wszystkie strony, jak gdyby chciał się upewnić, że nikt nie zasadził nowych drzew ani krzewów poprzedniego dnia. Wszystkie psy lubią zaznaczać swój teren, ale Śpiewak uważał chyba, że jeśli znajdzie jakimś sposobem wystarczająco dużo miejsc, żeby się załatwić, zostanie namaszczoney

jako Psi Król Całego Świata. Dzięki temu przynajmniej na króciutką chwilę oderwie się od swojej pani.

Dzięki niebiosom za drobne łaski, pomyślała Julie. Przez kilka ostatnich dni Śpiewak doprowadzał ją do szału. Chodził za nią trop w trop, nie spuszczał jej z oczu nawet na dwie minuty, chyba że wyprowadzała go na dwór. Nie mogła nawet pochować naczyń, żeby nie wpaść na niego po drodze kilkanaście razy. Jeszcze gorzej było w nocy. Wczorajszego wieczoru warczał przez godzinę, od czasu do czasu urozmaicając tę czynność szczekaniem, aż w końcu Julie zaczęła marzyć o nabyciu dźwiękoszczelnej budy lub strzelby dużego kalibru.

Faktem jest, że zachowanie Śpiewaka nigdy nie było, powiedzmy sobie... normalne. Poza siusianiem, pies zachowywał się tak, jak gdyby sądził, że jest człowiekiem. Nie chciał jeść z psiej miski, nigdy nie musiał chodzić na smyczy, a gdy Julie oglądała telewizję, wskakiwał na kanapę i gapił się w ekran. Kiedy mówiła coś do niego – a właściwie, kiedy ktokolwiek coś do niego mówił – wpatrywał się w tę osobę z napięciem, przechylając łeb na bok, jak gdyby wszystko rozumiał. W większości przypadków chyba rzeczywiście tak było. Bez względu na to, co kazała mu zrobić, nieważne, jak idiotyczne było polecenie, Śpiewak je wypełniał. „Czy możesz przynieść moją torebkę z sypialni?”. Po chwili pies nadbiegał, niosąc ją w pysku. „Zgaś światło w sypialni”. Śpiewak stawał na dwóch łapach i pstrykał wyłącznik nosem. „Wstaw tę puszkę z zupą do spiżarni, dobrze?”. Brał puszkę w zęby i stawiał ją na półce. Oczywiście, inne psy też bywają dobrze wyszkolone, ale nie tak. Poza tym Śpiewak nie potrzebował szkolenia. Wystarczyło, że tylko raz pokazała mu, co ma robić, a natychmiast już to potrafił. Znajomym wydawało się to zdecydowanie dziwne, ale ponieważ dzięki temu Julie czuła się jak współczesny doktor Doolittle, nawet jej się to dość podobało.

Chociaż oznaczało to, że mówiła do swojego psa pełnymi zdaniami, klóciła się z nim i od czasu do czasu pytała go o radę.

Przecież nic w tym dziwnego, prawda? – pomyślała Julie. Przeby-

wamy ze sobą tylko we dwoje od śmierci Jima, i na ogół Śpiewak jest świetnym kompanem.

Dziwne zachowanie psa zaczęło się, gdy znowu umawiała się na randki. Nie polubił żadnego faceta, który stanął na progu jej domu w ciągu dwóch ostatnich miesięcy. Julie właściwie się tego spodziewała. Od swoich szczenięcych czasów Śpiewak warczał na każdego obcego mężczyznę, gdy widział go po raz pierwszy. Julie myślała często, że pies ma szósty zmysł, który pozwala mu odróżnić porządných facetów od tych, których powinna unikać, ostatnio jednak zmieniła zdanie. Nie potrafiła oprzeć się myśli, że jest to po prostu wielka futerkowa wersja zazdrosnego mężczyzny.

To zaczyna stanowić problem, stwierdziła. Będą musieli odbyć poważną rozmowę. Śpiewak nie chce, żeby spędziła życie w samotności, prawda? Jasne, że nie. Być może upłynie sporo wody w rzece, zanim przyzwyczai się do czyjejś obecności, ale w końcu zrozumie. Do licha, kiedyś będzie prawdopodobnie cieszył się jej szczęściem. Ale jak ma to wszystko najprzystępniej mu wytłumaczyć?

Stanąła, zastanawiając się nad tym, zanim zdała sobie sprawę z tego, co sugeruje tok jej myślenia.

Wytłumaczyć mu to wszystko? Dobry Boże, pomyślała, naprawdę tracę rozum.

Pokuśtykała do łazienki, by przygotować się do pracy. Po drodze zdjęła piżamę. Stojąc nad umywalką, wykrzywiła się do swego odbicia w lustrze. No proszę, pomyślała, mam dwadzieścia dziewięć lat i kompletnie się rozpadam. Żebra bolały ją przy każdym oddechu, palec rwał, a widok w lustrze bynajmniej nie wpłynął na poprawę jej nastroju. W ciągu dnia brązowe włosy były długie i proste, teraz jednak, po całej nocy, wyglądały, jak gdyby zaatakowały je poduszkowe gnomy, niszczące grzebienie. Były potargane i nastroszone, „jakby trafił w nie piorun” (tak określał to kiedyś czule Jim). Na jednym policzku widniały smugi tuszu do rzęs. Czubek nosa był zacerwieniony, zielone oczy zapuchnięte z powodu wiosennego uczulenia na pyłki. Przynajmniej powinien pomóc na te kłopoty, prawda?

Cóż, chyba nie na alergię. Otworzyła apteczkę i połknęła tabletkę claritinu, po czym znowu spojrzała w lustro, jak gdyby liczyła na natchmiastową poprawę.

Fu!

Może wcale nie musiała dokładać zbyt wielu wysiłków, żeby zniechęcić Boba, który się nią zainteresował. Od roku strzygła mu włosy, a raczej to, co z nich zostało. Dwa miesiące temu Bob wreszcie zdobył się na odwagę, żeby umówić się z nią na randkę. Szczerze mówiąc, Boba trudno raczej uznać za adonisa – łysiejący, z okrągłą twarzą, zbyt blisko osadzonymi oczami oraz zaczątkami brzucha – ale był kawalerem i dobrze mu się powodziło, a Julie od śmierci Jima nie umówiła się z nikim ani razu. Pomyślała, że to okazja, żeby przekroczyć pewien próg i zacząć znowu się umawiać. Myliła się. Nie bez kozery Bob był samotny. Poza tym, że nie grzeszył urodą, był tak nudny podczas randki, że nawet ludzie siedzący przy sąsiednich stolikach w restauracji spoglądali na nią ze współczuciem. Potrafił rozmawiać wyłącznie o rachunkowości. Nie wykazywał najmniejszego zainteresowania niczym innym – ani nią, ani kartą dań, pogodą czy sportem lub małą czarną, w którą się wystroiła na spotkanie. Tylko rachunkowością. Przez trzy godziny słuchała, jak Bob głądzi bez chwili wytchnienia o odliczeniach wyszczególnionych, dystrybucji i amortyzacji zysku kapitałowego, i tak dalej, i tak dalej. Gdy pod koniec kolacji pochylił się nad stolikiem i wyznał, że zna „ważne osoby z urzędu skarbowego”, oczy Julie były tak szkliste jak tafla lodu.

Nie trzeba dodawać, że Bob bawił się wspaniale. Od tamtego spotkania dzwonił trzykrotnie w ciągu tygodnia, pytając, „czy mogliby spotkać się na drugą konsultację, chi, chi, chi”. Był bez wątpienia wytrwały. Denerwujący jak diabli, ale wytrwały.

Następnym facetem, z którym się umówiła, był Ross. Ross lekarz. Ross przystojniak. Ross zboczeniec. Wystarczyła jedna randka, żeby się na nim poznała. Serdeczne dzięki.

Nie można pominąć pocziwca Adama. Powiedział jej, że pracuje w administracji hrabstwa, że lubi swoją pracę. Po prostu równy gość.

Wkrótce odkryła, że Adam jest kanalarzem.

Nie czuła od niego brzydkiego zapachu, nie miał pod paznokciami substancji nieokreślonego pochodzenia ani tłustych włosów, Julie wiedziała jednak, że do końca życia nie zdoła pogodzić się z ewentualnością, że któregoś dnia mógłby stanąć w progu, wyglądając właśnie tak. „Miałem wypadek w pracy, kochanie. Przykro mi, że wracam do domu w takim stanie”. Na samą myśl o tym dostawała dreszczy. Nie potrafiła też wyobrazić sobie, że po czymś takim bierze od niego rzeczy do prania. Ich związek był skazany od początku na niepowodzenie.

Właśnie gdy zaczęła wątpić, czy w ogóle jeszcze istnieją tacy normalni mężczyźni jak Jim, kiedy zaczęła się zastanawiać, co ma w sobie takiego, że zdaje się przyciągać różne dziwolągi męskiego rodzaju niczym neon ze świecącymi literami: JESTEM DO WZIĘCIA! NORMALNOŚĆ NIE JEST KONIECZNYM WARUNKIEM!, w jej życiu pojawił się Richard.

I dziw nad dziwy, nawet po pierwszej randce, nadal sprawiał wrażenie... normalnego. Konsultant w J.D. Blanchard Engineering z Cleveland, w firmie remontującej most łączący nabrzeża po obu stronach kanału, zawarł z nią znajomość, gdy przyszedł do salonu, żeby się ostrzyc. Na randce otwierał przed nią drzwi, uśmiechał się w odpowiednich chwilach podczas rozmowy, podał kelnerowi jej zamówienie, gdy byli na kolacji, i nie próbował nawet jej pocałować, kiedy odwiózł ją do domu. A w dodatku był przystojny w artystycznym stylu – miał mocno zarysowane kości policzkowe, szmaragdowe oczy, czarne włosy i wąsy. Gdy wysiadła z jego samochodu, miała ochotę wykrzyknąć: „Alleluja! Widzę światelko w tunelu!”.

Śpiewak natomiast nie wydawał się wcale taki zachwycony. Gdy Julie pożegnała się z Richardem, odegrał jedną ze swoich ról z cyklu „Ja tu jestem panem!”. Warczał, dopóki Julie nie otworzyła frontowych drzwi.

– Och, przestań – skarciła go. – Nie bądź dla niego taki surowy.

Śpiewak usłuchał jej, ale wycofał się do sypialni, gdzie dąsał się przez całą noc.

Gdyby mój pies był jeszcze odrobinę bardziej cudaczny, pomyślała Julie, moglibyśmy stworzyć zespół i znaleźć pracę w wesołym miasteczku, gdzie występowałibyśmy tuż obok faceta, który zjada żarówki. Ale wtedy moje życie też nie byłoby normalne.

Julie odkręciła kurek i weszła pod prysznic, próbując powstrzymać napływające wspomnienia. Po co wracać myślą do trudnych chwil? Często myślała, że jej matka miała zgubny pociąg do dwóch rzeczy: alkoholu oraz toksycznych mężczyzn. Już jedno byłoby złe, ale ta kombinacja stała się dla Julie wręcz nie do zniesienia. Matka używała mężczyzn, tak jak dzieci używają papierowych ręczników, a gdy Julie wkroczyła w wiek dojrzewania, w obecności niektórych czuła się bardzo nieswojo. Ostatni próbował się do niej dobierać. Kiedy Julie powiedziała o tym matce, ta w napadzie pijackiej płaczliwej wściekłości oskarżyła ją, że to ona go prowokowała. Nie minęło wiele czasu, a matka wyrzuciła ją z domu.

Mieszkanie na ulicy było straszliwym doświadczeniem, nawet przez te pół roku, zanim poznała Jima. Prawie wszyscy, z którymi się stykała, brali narkotyki i żebrali lub kradli... albo jeszcze gorzej. Przerażona, że niebawem zacznie przypominać udręczonych uciekinierów, których widywała co noc w schroniskach i w bramach, szukała gorączkowo dorywczych prac. Dzięki temu nie rzucała się w oczy i miała coś do jedzenia. Kiedy po raz pierwszy spotkała Jima w tanej restauracji w Daytona, siedziała nad filiżanką kawy, na którą wysuwała ostatnie drobniaki. Jim kupił jej śniadanie, a kierując się do drzwi, obiecał, że jutro też jej zafunduje, jeśli Julie tu przyjdzie. Przyszła, ponieważ zmusił ją do tego głód, a gdy podała w wątpliwość jego intencje (przypuszczała, że zna prawdziwe powody, którymi mężczyzna się kieruje, i pamięta, że wygłosiła raczej żenującą publiczną tyradę na temat facetów lubiących młode dziewczęta, jak również odpowiedzialności karnej), Jim zapewnił ją, że w jego zainteresowaniu nią nie ma nic zdrożnego. Pod koniec tygodnia, gdy

szycował się do wyjazdu do domu, przedstawił jej propozycję: jeśli Julie postanowi przenieść się do Swansboro, w Karolinie Północnej, on pomoże jej zdobyć pełnoetatową pracę i załatwi miejsce, gdzie mogłaby się zatrzymać.

Pamięta, że gapiła się na niego, jak gdyby zobaczyła, że z uszu wylazą mu robaki.

Po miesiącu, zwłaszcza że raczej nie miała zaplanowanego kalendarza towarzyskiego, zjawiała się w Swansboro. Wsiadła z autobusu, myśląc, co ja, u diabła, robię w tej zapadłej miejscinie. Niemniej jednak odwiedziła Jima, który – mimo jej wiecznego sceptycyzmu – zaprowadził ją do salonu i przedstawił swojej ciotce Mabel. I rzeczywiście, od tej pory zamiatała podłogi, otrzymywała wynagrodzenie od godziny i mieszkała w pokoju nad salonem.

Z początku Julie odczuwała ulgę z powodu braku zainteresowania Jima. Później, o dziwo, zaczęło ją to irytować. W końcu, gdy mimo iż ciągle na niego „przypadkowo” wpadała i robiła – według niej – bezwstydną aluzję, nadal nie zwracał na nią uwagi, nie wytrzymała i zapytała Mabel, czy jej zdaniem jest dla Jima mało atrakcyjna. Chyba dopiero wówczas poszedł po rozum do głowy. Umówili się na randkę, potem kolejną, a po miesiącu spotkań hormony zagrały. Potem nie trzeba było długo czekać na miłość. Oświadczył się jej, stanęli na ślubnym kobiercu w kościele, w którym odbył się kiedyś chrzest Jima, a później przez kilka pierwszych lat małżeństwa Julie rysowała bezwiednie uśmiechnięte buźki, rozmawiając przez telefon. Czy ktoś mógłby sobie wymarzyć lepsze życie? Czego tu jeszcze chcieć?

Wkrótce zdała sobie, niestety, sprawę, że o wiele więcej. Kilka tygodni po ich czwartej rocznicy ślubu Jim dostał ataku w drodze z kościoła do domu i został przewieziony karetką do szpitala. Po dwóch latach choroby zmarł na nowotwór mózgu i nagle okazało się, że dwudziestopięcioletnia Julie musi zaczynać wszystko od nowa. Gdy dodać jeszcze do tego nieoczekiwane pojawienie się Śpiewaka, młoda kobieta znalazła się w takim momencie życia, kiedy już nic nie było w stanie jej zdziwić.

Obecnie, pomyślała, w życiu liczą się drobiazgi. O ile w jej przeszłości nadawały mu ton najważniejsze wydarzenia, to teraz codzienne zdarzenia stanowią o tym, kim jest. Pocziwa Mabel okazała się aniołem. Przyszła jej z pomocą w zdobyciu uprawnień, dzięki czemu Julie mogła strzyc włosy i zarabiać całkiem wystarczająco, a może nawet lepiej, na życie. Henry i Emma, dwoje dobrych przyjaciół Jima, nie tylko pomogli jej znaleźć własne miejsce w miasteczku, gdy się tu sprowadziła, ale utrzymywali z nią bliskie kontakty po śmierci jej męża. No i był Mike, młodszy brat Henry’ego i najlepszy przyjaciel Jima od czasów dzieciństwa.

Julie uśmiechnęła się pod strugami wody z prysznica. Mike.

To jest facet, który pewnego dnia uszczęśliwi jakąś kobietę, nawet jeśli czasami wydaje się nieco zagubiony.

Po kilku minutach, wytarłszy się do sucha ręcznikiem, Julie umyła zęby i wyszczotkowała włosy, umalowała się dyskretnie i ubrała. Ponieważ jej samochód był w naprawie, musiała iść do pracy piechotą – około półtora kilometra – toteż włożyła wygodne buty. Zamykając drzwi na klucz, zawołała Śpiewaka, omal nie przeoczywszy tego, co dla niej zostawiono.

Kątem oka zauważyła kartkę wetkniętą w szparę skrzynki na listy, tuż przy drzwiach wejściowych.

Otworzyła ją z ciekawością i przeczytała, stojąc na werandzie, gdy tymczasem Śpiewak wypadł z lasu i podbiegł do niej.

Droga Julie!

Wspaniale spędziłem czas w sobotę. Nie mogę przestać myśleć o Tobie.

Richard

A więc to dlatego Śpiewak wariował wczorajszej nocy.

– Widzisz – powiedziała, pokazując kartkę psu – mówiłam ci przecież, że to sympatyczny facet.

Śpiewak odwrócił pysk.

– Nie rób mi tego. Mógłbyś przyznać, że się myliłeś. Myślę, że jesteś po prostu zazdrosny.

Śpiewak zaczął się do niej łąsić.

– O to chodzi? Jesteś zazdrosny? – Julie nie musiała schylić się tak jak w przypadku innych psów, żeby pogłaskać go po grzbiecie. Był wyższy niż ona w czasach, gdy rozpoczynała naukę w szkole średniej.

– Nie bądź zazdrosny, dobrze? Ciesz się moim szczęściem.

Śpiewak obszedł Julie dookoła i spojrział na nią.

– No, chodźmy. Musimy iść piechotą, ponieważ Mike nie skończył jeszcze naprawiać dżipa.

Słyszając imię Mike’a, Śpiewak pomachał ogonem.